

Przegląd Wileński

TYGODNIK SPOŁECZNO-POLITYCZNY I LITERACKI

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.
Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 7000 mk.

1/2 " — 3500 "
1/4 " — 1800 "
1/8 " — 1000 "

Nasze stanowisko.

Dotychczas „Przegląd Wileński” spotykał się w prasie polskiej albo z uszczypliwymi uwagami albo z niewybrednymi dowcipami p. Obsta albo najczęściej pomijany był całkiem milczeniem. W ostatnich dopiero czasach natrafiliśmy na próby rzeczowej oceny naszego stanowiska, oceny niestety błędnej i powierzchownej, co zmusza nas do pewnych niezbędnych wyjaśnień.

Jeżeli „Dziennik Wileński” widzi w nas wyznawców i obrońców zasady walki klas lub „Gazeta Warszawska” dopatruje się w naszych poglądach „zaprzaństwa narodowego”, to nad tego rodzaju krytyką możemy śmiało przejść do porządku dziennego. Inna rzecz, gdy „Gazeta Krajowa” zarzuca nam stronniczość w oświetlaniu ujemnych stron życia państwowego i narodowego w Polsce i Litwie, na niekorzyść pierwszej. Zarzut powyższy wymaga sprostowania chociażby z tego względu, że pozornie jest on usprawiedliwiony, bezwątpienia bowiem jest prawdą, że „na łamach wznowionego „Przeglądu” nie obfitują artykuły lub notatki, choćby tylko krytycznie omawiające cośkolwiek, co pochodzi od Litwinów”.

Byłoby śmiesznością przypuszczać, że jesteśmy bezwzględni zwolennikami obecnego kursu polityki litewskiej i że uważamy ją za jakiś ideał. Nacjonalizm litewski jest również dla nas antypatyczny jak polski, niemiecki czy rosyjski. Dążenie do utworzenia z Wielkiej Litwy państwa o charakterze narodowym (*Nationalstaat*) a nie narodowościowym (*Nationalitätenstaat*) uważamy za błędne i niemożliwe do urzeczywistnienia. Ucisk a zwłaszcza szykanowanie mniejszości polskiej, mimo że są wywołane przez brak lojalności ze strony tejże względem młodej państwowości litewskiej, nie świadczą dodatnio o wyrobieniu polityków litewskich. Jeżeli jednak nie poruszamy tych tematów, to czynimy z następujących powodów.

Po pierwsze: cała prasa polska *bez wyjątku*, wszystkie agencje prasowe i telegraficzne polskie prześcigają się w obrzucaniu błotem, szkalowaniu i wydrwiwaniu państwowotwórczych wysiłków „bratniego” narodu litewskiego. Nie widzimy potrzeby ze swej strony dolewania oliwy do ognia i podniecania i tak już podnieconych namiętności narodowościowych.

Po wtóre: nie posiadamy dokładnych wiadomości o tem, co się dzieje za linią demarkacyjną. Wydawanie sądu na podstawie tendencyjnych a często wprost kłamliwych doniesień naszych agencji byłoby lekkomyślnością lub schlebaniem szowinistycznym gustom naszej publiczności. Nie ganimy, ale i nie chwalimy. Prócz kilku rzeczowych, nacechowanych niezaprzeczoną obiektywnością, referatów p. Michała Römera o projektach sejmowych kowieńskich, bodaj ani razu nie zabraliśmy głosu w sprawach, związanych z życiem po tamtej stronie kordonu. Nie rozporządzamy dostatecznym materiałem faktycznym, na którym moglibyśmy oprzeć swe wnioski i uogólnienia — oto powód naszej powściągliwości.

Po trzecie: piszemy po polsku i dla czytelników polskich, żyjemy w kraju, gdzie rządzą władze polskie i gdzie ludność polska jest żywiołem panującym. Nasze stosunki znamy dobrze, wszystkie ujemne strony życia miejscowego odczuwamy na własnej skórze. Czyż nie jest więc rzeczą naturalną, że ostrze naszej krytyki zwraca się przeciwko nacjonalizmowi polskiemu, przeciwko antysemityzmowi polskiemu, przeciwko militarystyce polskiemu, przeciwko imperjalizmowi polskiemu, przeciwko centralizmowi polskiemu, przeciwko wsteczniactwu polskiemu? Bynajmniej stąd nie wynika, że gdzieindziej panują stosunki idealne, atmosfera jest czysta a polityka mądra i przewidująca. Mają Włochy swoich fascystów, mają Niemcy po dawnemu swych haka-tystów, ma Irlandja swych ekstremistów, ma Rosja monarchistów i komunistów (ambo meliores), ma

i Litwa swych szaulisów, rekrutujących się, jak należy przypuszczać, z kół zacieklej szowinistów (w rodzaju naszego Związku Bezpieczeństwa Kraju) Ale walka z wiatrakami nie jest zadaniem poważnej publicystyki.

Lubi wprawdzie prasa warszawska i wileńska wytykać błędy Lloyd George'owi, pouczać Watykan, karcić Finlandczyków, wymyślać Berlinowi, ironizować nad Sowietami, ale wątpić można, aby którykolwiek z tych artykułów swój cel osiągnął. Dla tej prostej przyczyny, że żadna ze stron zainteresowanych skierowanych do siebie uwag nie czyta. Nie chcemy znaleźć się w podobnie śmiesznej sytuacji i dlatego zamiast wyszukiwania wad i błędów gdzieś daleko, tam gdzie nasz głos nie dochodzi, wolimy wytykać je i walczyć z nimi w miarę sił i możliwości u siebie w domu.

Gdy dwa lata temu objął nad Wilnem władzę rząd litewski, redaktor „Przeglądu Wileńskiego“, a wówczas „Gazety Krajowej“ zamieścił szereg artykułów, ostro krytykujących taktykę i stanowisko tegoż rządu w stosunku do Wileńszczyzny wogóle, a do miejscowej ludności polskiej w szczególności. Nietolerancja, faworyzowanie pewnej narodowości, narzucanie ludności nowego i obcego dla nich ustroju muszą budzić zawsze protest niezależnie od tych lub owych aspiracji państwowych.

Można być zwolennikiem państwa litewskiego ze stolicą Wilnem a jednocześnie być zdecydowanym przeciwnikiem supremacji języka litewskiego w tym państwie i można uważać Wileńszczyznę za nierozdzieloną część Rzeczypospolitej Polskiej, ale nie pochwałać wynaradawiającej i centralistycznej polityki polskiej. Niestety i jedno i drugie zdarza się

rzadko, ponieważ ogół nawet wykształcony, nawet pretendujący do holdowania zasadom demokratycznym nie rozróżnia dostatecznie pojęć narodu i państwa. Jak dawniej panowała maksyma „*cujus regio, ejus religio*“, tak dziś nacjonalizm pragnie zastąpić wyraz *religio* wyrazem *natio*. Stąd płyną nieporozumienia, stąd też w artykule „Gazety Krajowej“ zarzuty rzekomej naszej stronnictwośći w traktowaniu nacjonalizmu polskiego i litewskiego pomieszały się z zarzutami względem naszego stanowiska krajowego.

A gdy pierwsze posądzenia odrzucamy stanowczo jako całkowicie bezzasadne, przeciwko drugim nie tylko nie myślimy się bronić, ale z całym naciskiem podkreślamy, że do Wilna większe ma prawo moralne Litwa, niż Polska, tak jak do Torunia czy Grudziądza większe ma prawo Polska niż Niemcy, chociaż i tu i tam dane statystyczne świadczą na niekorzyść prawych właścicieli.

Bowiem kraj jest pojęciem bardziej stałym, niż jego zaludnienie.

Romantyzm państwowości a jej rzeczywistość.

Nasz ogół myślący a czytający skory jest upatrywać dziś apoteozę idei państwowej tylko w Niemczech, wśród narodu, który wydał światu Hegla i jego filozofję. Tymczasem przesadny kult Molocha państwowości równie dobrze widzimy u całego szeregu innych narodów, jak Francuzi, Japończycy, Włosi etc. Niemcy przynajmniej byli szczerzy i nie robili sekretu z tego, że wynosili ponad miarę ideę państwa, stawiając nawet je wyżej od narodu. Gdzie

J. B-nas.

Smutna opowieść.

3) (Tłomaczenie z litewskiego).

Było to w połowie lata. Padał deszcz i ludzie porzuciwszy żniwo nudzili się po chatach, nie wiedząc co robić: kobiety wiązały z gałązek brzoźowych miotły, mężczyźni zaś kręcili się koło chlewów i płotów ospali, niezadowoleni... Wszystkim na sercu leżało żyto, a tu, jak na złość, drobny deszcz padał już od kilku dni...

Józefata przyniosła ze swironka sztukę płótna, poszukała nożyczek, kłębka nici z igłami i zbierała się krajać i szyć bieliznę dla swego Piotra.

Gdzie on teraz, biedaczek, tuła się po świecie?.. głodny może i obdarty? I niema komu go pocieszyć, uspokoić...

Tak dumiała Józefata nad białym płótnem.

Od wyjścia Piotra bołało ją serce niewypowiedziane. Często ogarniał ją taki niepokój, że nie wiedziała, gdzie się podziać. Nocami nie sypiała, miejsca sobie znaleźć nie mogąc, chodziła jak błędna. Przez cały dzień czekała na męża, choćby przechodzącego mimo. Lecz tyle upłynęło czasu, a jego wciąż nie było, ani żadnej o nim wieści.

— Może już nie żyje? Może męczy się gdzie raniony?..

Zmizerniała i zczerniała od tych myśli, nikomu wesolej twarzy nie pokazała. Zmieniła się, jak piękna georgina, mrozem jesiennym zwarzona. O nic się nie troszczyła, niczemu nie wierzyła. Zapomniała nawet słów Damulisa, które niedawno jeszcze lubiła powtarzać, które rozjaśniały jej ciężkie myśli i oczy... Jednego tylko pragnęła: zobaczyć jakimkolwiek sposobem swego męża. Jego tylko obraz nosiła zawsze w swej piersi...

Chociaż trzymała w rękach białe płótno, lecz szyjąc je, duch jej i oczy były daleko — tam, gdzie stare sosny smutno szumiały, kryjąc w swych cieniach odważnych powstańców od wroga. Pragnęła być tam razem z nimi, widzieć swego Piotra, — który zmęczony i zmizerowany śpi pod drzewem: siedziałaby obok niego z białym węzełkiem na kolanach...

— Uszyję bieliznę i pójdę szukać Piotra. Zaniosę mu jedzenie... Choć raz przycisnę do piersi... umrę z nim razem...

Tak marzyła.

Nie czuła i nie widziała, jak do izby weszła stara, nieznajoma żebraczka i pochwaliwszy Chrystusa, usiadła na ławie mówiąc pacierze.

indziej dzieje się to samo, lecz często zamaskowane, i to bez różnicy czy w republikach, czy w monarchjach.

Za historję ludzkości największą odpowiedzialność ponoszą nie narody, lecz właśnie państwa, czyli te olbrzymie organizacje, które, acz powstałe dla wypełnienia wyłącznie niezmiernie ważnych a dobroczynnych dla ogółu funkcyj, bardzo rychło *wyradzają się*, stając się nie środkiem do osiągnięcia pewnego celu, lecz *celem dla siebie samych*. Z tego samoubóstwienia, krańcowego egoizmu, który stanowi charakterystyczny rys bytu państw dzisiejszych, pochodzi owe upokarzające w chwili obecnej stanowisko narodów, niosących odpowiedzialność moralną za wszystkie bezceństwa, popełniane przez państwa, mimo że ta odpowiedzialność, bliżej w rzecz wejrzawszy jest bardzo i bardzo względna. To wcale nie przypadek, że narody *stale* są niezadowolone ze swych rządów, jako od nich *znacznie* uczciwsze. Można np. być pewnym, że plebiscyt, przeprowadzony przed wypowiedzeniem wojny, nigdy nie dałby większości opowiadającej się za nią. Jeśli nie wszystkie, to większość wojen należy doprawdy zapisać na czyste konto państwowe! Kto powtarza stereotypowe: *naród ma taki rząd, na jaki zasługuje*, zbyt prostolinijnie przedstawia sobie ustrój państwowy i chyba nie zna wszystkich jego tajemnic, doskonale zato znanych i znakomicie wyzyskiwanych przez odpowiedzialnych i nieodpowiedzialnych sterników nawy państwowej.

Niewątpliwie piękną a wzniosłą jest idea św. Pawła Ap., w jednym z listów jego wyrażona, o współdziałaniu harmonijnem władz duchownej i państwowej. Szczytnie brzmi też *Civitas Dei* w dziełach św. Augustyna, realizowana niekiedy z powodzeniem w wiekach średnich. Rozglądając się jednak dziś wokoło po świecie, zgoła nie widać ani państw zbliżonych do tego ideału, ani nawet rychłej możliwości ich powstania. Państwa obecne mają jednocześnie charakter wybitnie policyjny, spekulacyjny, militarystyczny, imperjalistyczny...

Państwo ma swą poezję i prozę, swój romantyzm i rzeczywistość. Górnolotnie brzmią racje bytu państwowego z katedry wydziałów prawnych, z grubych podręczników uniwersyteckich... Kwiecieście przemawiają niekiedy na ten temat monarchowie (których jest coraz mniej), prezydenci, naczelnicy rządów, prezesi gabinetów, ministrowie, ba! nawet... prowincjonalni dygnitarze, ale praktyka życiowa niebawem ściąga ich wszystkich w odmętę, gdzie panują: przemoc, protekcjonalizm, zysk, przekupstwo i może najbrzydszy z nich kompromis ze złem moralnem i fizycznym. Kompetencja policji jawnej i tajnej, praca żandarmów i reglamentacja prostytutki, czynności fiskalne i komory celne sprowadzają rychło przedstawicieli państwa na drogę straszliwej korupcji, na czem oczywiście musi cierpieć sama idea państwa *in concreto*. Gdy tak się dzieje na nizinach budowy państwowej, cóż jest w górnych jej regjonach? Tam lśnią cylindry, czernieje ładny krój angielskich fraków, panuje dialekt paryski... Czy jednak łącznie z tem i — prawda, sprawiedliwość, uczciwość?! Rzecz pewna, że tu łapówek *de manu in manum* nie dają i nie biorą, z paskarzami i prostytutkami w żadne kompromisy nie wchodzą, cudzej fizjognomji własną prawicą nie tykają... Zato blaga, wyrafinowany cynizm, zupełny brak wzajemnego zaufania i t. d. stanowią tło spólczesnej dyplomacji. Weźmy teraz robotę sztabów wojennych z ich wywiadami i kontrwywiadami — miła-ż to dziedzina?! Panuje tu w pełni zasada Bismarka: *Man kann die Kanailen brauchen, aber nicht estimieren!*

To wszystko zawiera jednak w sobie pewną, chociaż smutną pocięgę dla tych narodów, które dotąd niezawisłego bytu państwowego nie zdobyły lub nie rozszerzyły tak daleko, jakby chciały. Mogą właśnie one powiedzieć sobie: czy jest znowu tak wielkiem dla nas nieszczęściem, że dziś przy obradach jakiejś konferencji piaskiem blagi dyplomatycznej sypie innym w oczy nie nasz przedstawiciel, lecz któryś inny? że funkcje „ochranki“ i policji obyczajowej, z nieodłączną w praktyce tam prowo-

Wtedy tylko podniosła zdziwione oczy, gdy staruszka westchnęła ciężko i żalonym głosem prosić zaczęła: — zlituj się, gospodyni, kęs mięsa, kroplę mleka...

— A z kąd jesteście?— spytała Józefata, widząc nieznaną.

— Zdaleka, córeczko, z Sz-skiej parafii. U nas straszno teraz chodzić, więc przywędrowałam tu po żebraniu...

— Dla czegoż to u was straszno? spytała Józefata patrząc ciekawie na żebraczkę.

— Ej, koteczko, w naszych stronach tyłu teraz kozaków i Polaków, że przejść nie można. Włóczą się po wszystkich drogach; spotkanego człowieka nie przepuszczą spokojnie. Dogodzisz jednemu, to się drugiemu narazisz, tak, że człowiek nie wie, za co się chwycić. Dużo naszych ludzi przystaje do Polaków. Tylko co z tego? Położą swe młode głowy, a biedy, jak były, tak będą.

— Staruszeko, czy powstańcy to dobrzy ludzie?— spytała drżącym głosem Józefata.

— Nieżli z nich ludzie, kotku, nieżli. Pewnie pragną dobra dla nas, biedaków. Przecie oni głód cierpią i głowy narażają, kryjąc się po lasach. Lecz ruskich oni nie przemogą; a później, tamci jeszcze bardziej lud uciskać będą.

— A gdyby przemogli... Wszak wtedy byłoby wszystkim lepiej!.. I Józefata spojrzała na żebraczkę błyszczącymi oczami, jakby spodziewała się usłyszeć od niej szczerą prawdę.

— Lepiej, to lepiej, — odrzekła stara, — tylko nic z tego nie będzie. Przecie już przed trzydziestu laty także byli powstałi, — i nic nie zrobili. A ilu wtedy ludzi Moskale wystrzelali, ilu wywieźli — i panów i biedaków, strach wspomnieć... I teraz tak będzie...

Zaczęła opowiadać, jak było wtedy, przed trzydziestu laty. Jak panowie powstałi, jak wzywali lud prosty do walki z Rosjanami i jak nieszczęśliwie wszystko się skończyło. Opowiadała, co pamiętała sama i co od innych słyszała, — wszystko, co przez długie swe życie doświadczyła i odczuła. Opowiadała tak, jak zwykle ludzie starsi, którzy mało już od życia oczekują i patrzą na wszystko bez nadziei.

Józefata słuchała staruszki i ciężki kamień legł jej na piersi. Dała jej jeść, przyniosła mięsa kawałek, chcąc usłyszeć choć jedno słówko uspokojenia. Tak pragnęła dowiedzieć się coś pewnego o swym Piotrze. Zdawało się jej, że staruszka, chodząc po żebraniu, dużo o powstańcach słyszała, — że pewnie ich widziała, może i o Piotrze coś wie... Nie śmiała tylko spytać się o to: bała się odezwać, powiedzieć coś niepotrzebnego.

kacją, tu—przekupstwem, pełni agent rządu obcego, a nie naszego? że w cyrkule *prać* po twarzy, a na granicy pobiera gruby haracz od szmuklerzy będzie jegomość, mający na czapce herb lub barwy państwa obcego, a nie naszego? i t. d. Istotnie trzeba dużej wiary w państwowość, by głęboko się smucić, że powyższe *funkcje państwowe* spełnia kto inny, a nie my; lub że się nie ma szczęścia posiadać ani własnego monarchy, w stylu *króla Sardanii* ze słynnej operetki Flersa i Caillaveta, ani też wielkorządcy tego typu, co gubernator z doskonałej komedji rosyjskiej księcia Sumbatowa p. t. *Gubierskaja Kleopatry*, wciąż mówiący z patosem o swoich *przednaczertanjach*, mimo że jest za nos wodzony ręką sprytniej niewiasty.

Zgoła co innego *romantyzm* państwowości, a co innego jej naga *rzeczywistość* codzienna.

Latovicus.

Względność prawa własności.

Pod tytułem powyższym krakowski „Przegląd Powszechny”, znany ze swego niezależnego sądu miesiicznik katolicki, zamieszcza w numerze majowym artykuł wielce znamienity. Tylko zaciętrzewieniu endeckiemu, charakterystycznemu dla chwili obecnej, należy przypisać, że nigdzie dotychczas nie spotkał się w prasie polskiej z echem artykułu ks. Romualda Moskały.

„Względność prawa własności”.

Czy to odkrycie? Zasadnicza zmiana punktu widzenia? Ależ bynajmniej! Nawet dla człowieka, obznajomionego tylko z podstawami nauk społecznych i posiadającego pewną znajomość życia i ludzkości, musiało już oddawna być jasnym, że teza o absolutności prawa własności pozbawioną jest poważnych racji. Już apodyktyczność twierdzeń i „dobra” doza hysterji tak jawne wśród jej obrońców

świadczyły, że apologeci jej są bankrutami. Prawo własności jest wytworem rozwoju, historii... Żadnej sankcji wiążącej je bezwzględnie z pewnym systemem religijnym lub naturą, niema. Nie człowiek jest sługą instytutu prawa własności, lecz ten jest regulatorem stosunków ludzkich.

Wobec oczywistości powyższego, artykuł wzmiankowany jest ciekawy tylko, jako nowe zestawienie najpospolitszych zjawisk społecznych, które tezę o bezwzględności prawa własności doszczętnie podrywają, wprowadzając racjonalizm społeczno-ekonomiczny na piedestał, gdzie dotąd siedziało *tabu*, odbierając cześć niemal boską.

Chwila obecna niewątpliwie jest okresem przesilenia w pojęciu o własności, przyczem prawo jej posiadania i używania doznaje istotnie coraz większego ograniczenia. Przykłady: rolnictwo (reformy rolne) i przemysł (udział w zarządzie i zyskach). „Wszystkie te i inne ograniczenia i przewartościowanie prawa własności, dokonują się dziś przeważnie pod wpływem socjalistycznych doktryn, na których dnie leży zawsze komunizm tej czy innej formy”.

Nie pozbawionem komizmu jest, jak przysięgli obrońcy *status quo ante*, przywykli nadużywać miana świętości dla prawa własności, „ogładają się z całem zaufaniem za autorytatywnym głosem w tej sprawie ze strony Rzymu, a w każdym razie uważają, że cały Kościół nauczający powinien stanąć w obronie dogmatu bezwzględności prawa własności. Tymczasem na te wezwania odpowiedzią jest głuche milczenie, a nawet tu i ówdzie słyhać głosy, całkiem dobitne, sankcjonujące w niejednym wypadku powyższą zmianę w pojęciu prawa własności. Wtedy mówi się śmiało, że i Kościół się radykalizuje, a nawet powietrze nad ziemią polską drgało nieraz falą zdania, że P. Jezus był pierwszym socjalistą”.

Faktycznie, historia poucza, że pozytywne prawo dotyczące własności jest bardzo względne. W czasach obecnych trzeba całkiem się pożegnać z „ową własnie zasadą, że właściciel jest absolutnym panem przedmiotu własności i może *ipso uti et abuti*”.

Żebraczka jadła tymczasem mówiąc zwolna:

— ... Cesarz przysłał teraz do Wilna nowego rządcę... Nazywa się generał-gubernatorem, czy jak?... Straszny ma być człowiek, jak zwierzę. Ani Boga nie boi się! Biskupa naszego wyłajał. Dwóch księży kazał rozstrzelać... mówią że za to, iż jakieś pisma czytali ludziom w kościele... Rozstrzelali wśród miasta... w samo południe, aby ludzie widzieli... Nie chciano temu wierzyć... Mówią, że sam prawosławny archierej chodził prosić, aby nie rozstrzeliwano księży, prosił w imię Boże, by tak strasznych rzeczy nie czynić... To ten władca jak krzyknął na archireja: ja, powiada, robię, co chcę, a Boga się nie boję; kto wie, mówił, gdzie ten Bóg jest,—jam Go nie widział, a ty Go widziałeś?... Tak miał powiedzieć... Straszny człowiek! Gdy mówi, to ryczy, jak wół... Teraz każe rozstrzeliwać, albo wieszkać każdego, kogo złapie... Żle, kotku, żyć teraz, a co dalej będzie, sam Pan Bóg wie tylko...

Józefata siedziała blada, z szeroko otwartymi oczami...

W uszach jej dzwięczały słowa: biegnij ratować swego męża ..

Przeżegnała się, wzięła białe zawiniątko i wyszła z domu. Aby nie być widzianą, nie szła ulicą, tylko skręciła przez ogrody na pole. Jakby się bała, by jej kto nie zatrzymał i nie zawrócił z drogi. Za polem żytniem dopiero skierowała się na gościniec. Dysząc ciężko, obejrzała się, czy kto nie widzi. Spójrzała w stronę poblizkiego lasu i biedz doń poczęła. Chciała coperdziej ukryć się w lesie, gdzie jej nikt nie znajdzie, ani zatrzyma. Sama nie wiedziała skąd jej obawa pochodzi: czy bała się swoich, czy kozaków, czy też—czegoś nieznanego, a straszego. Czowała tylko mocne bicie serca i drżenie nóg. Co ją czeka w lesie: nieszczęście czy uspokojenie? — Może zobaczy iotra i będzie tak szczęśliwa, jak przedtem...

Józefata słyszała od żebraczki i od ludzi we wsi, że w tym lesie kryją się obecnie powstańcy, że ich tam widziano. Słyszając to, wzięła dwa serki, kawałek słoniny, chleba i kilka sztuk bielizny, — związała wszystko w białą chusteczkę i wyszła... cichaczem.

Przypomniało się jej opowiadanie starej żebraczki, a w uszach dzwięczały znowu słowa: — idź, ratuj swego męża!

Jak zdoła ona męża wyratować, nie wie, — czuje tylko, że musi iść go szukać...

Literatura poruszonego tu przedmiotu jest bardzo jednostronna. „Ostatnie półwiecze wydało bardzo dużo specjalnych prac na temat własności prywatnej, ale prawie wszystkie były skierowane przeciw tym, którzy kwestjonowali wogóle prawo własności prywatnej, przeciw socjalistom“. Jeden z najznakomitszych współczesnych ekonomistów, H. Pesch do prawa własności stosuje słowa: *nie fakt kreacji, ale historia ją stworzyła*. Rozwijając i wyjaśniając myśl powyższą, autor w ciągu dalszym powiada: „Prawo natury nic nie mówi, co dane indywiduum z pośród nieprzeliczonej ilości zasobów materialnych ma mieć, mówi natomiast w każdym razie to, że w skarbcu dóbr ziemskich jest złożona dla każdego pewna ilość przedmiotów, do których się ma bez względne prawo i słuszną pretensję, by używając ich można żyć i rozwijać się“. Wobec tego z zupełną słusnością można powiedzieć, że dobra materialne są wspólnym spichrzem wszystkich ludzi. Jako wniosek stąd autor mówi, że „pewna daleka możliwość istnienia własności wspólnej jest“, słusnie jednak akcentuje jako *conditio sine qua non* potrzebę głębokiego wewnętrznego wyrobienia. „Dopóki społeczeństwa nie odzyskają tej siły moralnej potrzebnej przy komunizmie, o komunizmie nie może być mowy“

Artykuł „Przeglądu Powszechnego“ o „względności prawa własności“, jako napisany ściśle rzeczowo na ten wielce drażliwy temat, jest zjawiskiem w publicystyce polskiej niezwykle rzadkiem i zasługującym na podkreślenie.

Sonderling.

Trjumwirat.

(Notatka historyczna).

(d. c.)

Drugi trjumwir, będący mózgiem haniebnej akcji, Niemeksza był człowiekiem nadzwyczaj otyłym, co

Miło szumiał stary las, gdy Józefata doń weszła. Szła cicho, nastuchując. Ogarnął ją strach niewymowny. Sama... w lesie i, ani żywego głosu naokoło. Nie odzywał się zając, ptaki nie śpiewały, co tak uspakaja człowieka. Tylko drzewa poruszały gałązki z szumem... Józefatę trwożył odgłos jej własnych kroków. Złamana sucha gałązka przerażała ją, jak sarna. Szła jednak naprzód, uspakajając ducha swego obrazem męża. Nagle coś zastukało głośno i znowu ucichło. Józefata drgnęła.. Znowu stuka... Odetchnęła: zrozumiała, że to dzieciół w drzewo puka. Odgłos ten dodał jej odwagi. Szła śmieiej, oglądając się. W tem usłyszała głos, którego nie mogła rozeznac na razie. To już nie pukanie dziecięcia: jakby sto cepów biło ziemię — szybko, zgodnie...

— Kozacy jadą! — przyszło Józefacie na myśl. Bezwiednie zesza z drogi i ukryła się w gęstej olszynie.

— Jezus, Maryja, Józefie święty... szeptała, przyciskając drżącymi rękami serce.

Odgłos zbliżał się szybko...

W jednej chwili zatętniało, zabrzączało i tłum jeźdźców przeleciał drogą. Byli to kozacy. Józefata

czyniło dosyć prawdopodobnym nagły jego kiedys skon. Razu jednego poważnie zaniemógł. Powszechnie czczony za swą świętobliwość, a dziś przesłonięty już mgłą legendarną, misjonarz o. Weryho odwiedził chorego i zachęcał go do pojednania się z Bogiem i naprawienia danego ludowi zgorzienia. Chory się zgodził, lecz, dzięki zwyktemu lenistwu, odłożył to na jutro, chociaż stary zakonnik dobitnie mówił, że jutro do nas nie należy. I rzeczywiście tejże nocy nastąpił nagły zgon Niemekszy. Było to dnia 10 października 1878 r. Tak zakończył swe życie ten, który, ze skromnego stanowiska prefekta *Mariinki* w Wilnie, wzbił się na najwyższe szczeble władzy kościelnej w kraju. Umierał bardzo daleki od urzeczywistnienia rozległych planów, jakie knuł do spółki z rządem, może nawet rozczarowany.

Przyszła też kreska i na trzeciego kompana Tupalskiego, który w latach 1870—72 piastował urząd rektora seminarjum duchownego w Wilnie. W kompleksie budynków seminaryjnych zamieszkiwał on basztę, gdzie jest wejście do seminarjum i rozmównica. Doskonale ją widać, wraz z oknami dużego mieszczącego się w niej pokoju, od zaułka Ś.-Jerskiego (tuż obok dzisiejszego pałacu Ogińskiej). Jak nieraz bywa, rektor miał wszechwładnego sługę *Jurkę*, który był w wielkich łaskach u swego chlebobdawcy i dopuszczał doń tylko tego, kogo chciał. Obrażony raz przez niego, podobno zaprzysiął zemstę. Dla wykonania zbrodniczego czynu, wybrał właśnie chwilę, gdy rektor, po odprawieniu mszy św., zwykł był przed śniadaniem wychylać kieliszek jakiego wonnego trunku. Tym razem z bójem wyspał doń trujących ingrediencji i Tupalski poczuł się niedobrze, lecz wypił jeszcze, bo za radą *Jurki*, drugi kieliszek miał poprawić tę rzekomo chwilową niedyspozycję. Skutek jednak był wręcz przeciwny. Wtedy nie czekając dłużej, służący zamknął drzwi i obuchem (wagą od zegara?) uderzył rektora po głowie, zabijając go na miejscu.

Ale jak ukryć ślady zbrodni dokonanej? Łotr wpadł na taki pomysł: po odcięciu głowy zabitego,

zdążyła zaledwie ujrzeć ich długie, w górę wzniesione piki. Znikli jej z oczu jak burza i wszystko ucichło...

Z westchnieniem ulgi wysza z olszyny. Lecz nie śmiała już iść gościńcem. Bała się jakiego spotkania. Zdawało się jej, iż cały las pełen kozaków, że za każdym drzewem ktoś stoi i chce ją zabić! Szła bez drogi, nie wiedząc sama, w którą stronę. Po pewnym czasie znalazła się na pięknej, zielonej polanie. Nie widziała jej przedtem. Spojrzała na stronę i cichy okrzyk przestachu z ust jej się wyrwał. Obraz który ukazał się jej oczom, spędził jej wszystką krew do serca. O pięć kroków, siedział pod drzewem żołnierz rosyjski i pił wódkę z butelki. Był już całkiem pijany i mruczał coś pod nosem. Obok niego leżała rzemienna nahajka i... kura z ukreconą głową. Znajdował się już śnać w takim stanie, że ani „lachy“, ani zwierchność nie trwożyli go.

Słyszając krzyk, podniósł pijane oczy i porwał za nahajkę, jakby szukając broni. Zdziwił się ujrwszy kobietę. Przetarł ręką oczy, jakby niedowierzając. Uśmiechnął się...

— Padażdi, ja siejczas... siejczas... — zamruczał, podnosząc się z ziemi.

do jednej paki włożył cały korpus nieboszczyka, do drugiej zaś wszystkie jego kosztowności i głowę w tej myśli, że tak utrudni wykrycie mordu. Wynająwszy dorożkarza, przewiózł pierwszą pakę potajemnie na brzeg Wilji i wrzucił ją do jej nurtów, z drugą zaś i jakąś ladacznicą umyślił, po zamknięciu rektorskiego mieszkania, umknąć za granicę i w tym kierunku odjechać. Na granicy jednak wydał się Jurka podejrzanym. Poddano go rewizji, podczas której znaleziono krzyż kanonicki i... głowę Tupalskiego. Wobec tego zbój przyznał się do wszystkiego. Jest też wersja, że jakoby w pośpiechu omyłkowo pakę z kosztownościami wrzucił do Wilji, a zabrał z sobą w drogę drugą — z korpusem. Mniejsza jednak o to, dość że z granicy zatelegrafowano zaraz do gubernatora wileńskiego, zapytując co się dzieje z ks. Tupalskim. W Wilnie o niczem jeszcze nie wiedzano i nawet nie domyślano się, przypuszczając że niewidoczny od kilku dni rektor, prowadzący zwykle życie dość zamknięte, zapewne z powodu choroby nie wychodzi z mieszkania. Dopiero po drugiej depeszy, policja otworzyła drzwi do pokojów rektorskich i znalazła niesprzątnięte ślady popełnionego tu morderstwa. W ten straszny sposób, dnia 8 maja 1872 r., zeszedł z tego świata trzeci członek trjumwiratu, Tupalski, znany jeszcze z cyklu wydanych kazań, w których próbował zwałczać pijaństwo.

Ze smutną historją trjumwiratu ściśle się wiąże dzieje seminarjum duchownego w Wilnie. W roku powstania styczniowego liczyło ono 116 alumnów (ogół księży wynosił 600 osób). Po powstaniu wszystkich gotujących się do święceń kapłańskich rozpedzono. Większość ich przyjęła święcenia w Królestwie Polskiem, gdzie dużo pozostało na parafjach i nadal. Tupalski zastał wszystkiego dwóch kleryków: hr. Ilińskiego i Linkszewicza, z których pierwszy też potem został wydalony. Po Tupalskim na urządzie rektorskim byli księży Zdanowicz i Walicki (pięć miesięcy). W r. 1870 liczba alumnów „wzrosła” do 4 (ogół księży 387). Lepiej działać się poczęło w uczelni djecezalnej tylko wtedy, gdy rektorstwo objął ks.

Maciej Harasimowicz. Wśród niezliczonych szykan, udało mu się urzędować tu aż do r. 1878, kiedy za nieodczytanie w wielki piątek modlitwy za cesarza, został przez Żylińskiego z rektorstwa przerzucony na parafję wiejską. W czasach strasznego w djecezji zamętu, pod rządami niecnego trjumwiratu, ks. Harasimowicz pełnił niezmiernie ważną funkcję: był on w Wilnie i djecezji osobą zaufania Stolicy Apostolskiej, niejako jej legatem, utrzymującym więź zależności od Rzymu. Podobno odbierał on nawet własnoręczne listy od pap. Leona XIII. To też do ks. Harasimowicza w najważniejszych sprawach kościelnych zwracali się zwykle wszyscy księża, którzy ustrzegli się korupcji, płynącej zgóry. Takim ośrodkiem było naprzód seminarjum duchowne, gdzie on był rektorem, a potem każdorazowe miejsce duszpasterzowania jego na wsi. Umarł zacny ks. Harasimowicz, jako tajny szambelan papieski. Działalność jego w seminarjum djecezalnem wyraziła się w tem, że, zastawszy 17 alumnów, 14 z nich usunął natychmiast, jako niezdolnych do stanu duchownego. Był to krok śmiały, lecz potrzebny i nie zawahał się go uczynić rektor, mimo że aspirantów było wtedy mało ze względu na wymagany od nich przez rząd podpis i zgodę na wprowadzenie *Trebnika*. Tylko powoli, za rządów ks. Harasimowicza, liczba alumnów zwiększyła się do 10 — 15. Charakteryzuje dosadnie ostrość regime'u, ciężącego nad nimi i całym zakładem, fakt, że polskiej gramatyki uczono się, mając otwartą przed sobą *Chrestomatję* Gałachowa lub nawet brewjarz — w ciągłej obawie rewizji.

Swego rodzaju *non plus ultra* w życiu alumnatu wileńskiego było to, że trjumwirat pielegnował w nim jedną młodą latorośl hrabiowskiego rodu, sposobiąc ją z czasem na biskupa, w nadziei, że ten oczywiście nie zapomni o swych dobrodziejach i protektorach. Był nią alumn hr. Iliński, który w seminarjum zajmował cały szereg celi, z których jedna służyła mu za sypialnię, druga za pokój stołowy, trzecia za gościnny i t. d. Hrabia sutany nie

Ujrzawszy go, Józefata, upuściła z przestrachu zawiniątko i zaczęła uciekać

Puścił się za nią zataczając się i bełkocąc — niebojsia... niczewo... ja ciebie pocetu...

— Czort—zaklął nagle, zawadzając nogą i przewracając się

Oparł się rękami i obejrzał. Pod nogami spostrzegł zawiniątko. Uśmiechnął się i rozwiązał. Twarz mu rozjaśniła się. Porwał ser obiema rękami i zaczął gryźć. Głodnym był widać po wódce.

Lecz Józefata już tego nie widziała. Biegła nie oglądając się za siebie. Zdawało się jej, że żołnierz goni ją wciąż, mrużąc. Bała się obejrzeć. Sama nie wiedząc jak, znalazła się pod domem w żytнім polu. Tu tylko odetchnęła, przyciskając ręką serce. Z przerażenia nie poznała na razie swego domu, ani wsi. Wszystko innem się jej wydało. Patrząc na wieś, zadrżała. Z poza domu wyjeżdżał kozak na koniu, za nim — drugi, trzeci... Wieś pełną ich była. Poczęła słuchać. Jakieś głosy, jakby płacz i krzyk...

— Boże!.. jęknęła nieszczęśliwa, łamiąc ręce.

Niedaleko stał stóg żyta. Tam ukryła się od kozaków...

Długo siedziała tam drżąc. Widziała, jak kozacy ze wsi wyjechali i pomknęli gościńcem. Wyjść jednak nie śmiała. Zmrokiem dopiero wylazła z pod stogu i kryjąc się, jak złodziej, weszła do wsi. U Damulisa świeciło się przez okno. Przejęta nieopisaną trwogą wśliznęła się do sieni i otworzyła drzwi...

Na łóżku leżał stary Damulis bez czucia. Głowa i twarz obrzmiały i tak zbite, że nie można było poznać człowieka; bielizna przyschła do ciała... Leżał, jak martwy. Od czasu do czasu tylko jęk cichy z piersi jego wychodził. Matka i córki klęczały obok i modliły się z żalosnem zawozeniem. Zapalona gromnica płonęła mdłym światłem.

— Boże, za cóż tak? za co? — zawołała Józefata, klękając przy łóżku...

(D. c. n.).

nosił, lecz tylko dłuższy tużurek. Wychodził lub wyjeżdżał na miasto i wracał zeń, ile chciał i kiedy chciał. Przyjmował w seminarjum różne osoby, podejmując ich wcale gościnnie. Koniec tym „studjom“ teologicznym i innym praktykom hrabiowskim poleżył ks. Harasimowicz. Iliński jednak przeszedł do historii.

Erka.

(Dok. n.)

POLEMIKA.

W sprawie krytyki malarskiej

I.

Ze zdziwieniem przeczytałem artykuł „Przechadzka po wystawach“, zamieszczony w № 20—21 „Przeгляdu Wileńskiego“. Bo pismo, które daje nader szlachetną i poważną syntezę zagadnień społecznych, wspomnianym artykułem nie tylko nie przyczynia się do rozjaśnienia zagadnień sztuki plastycznej, ale naodwrot, zwiększa liczbę artykułów dyletanckich, które jeszcze więcej gmatwają myśli i pojęcia Wilnianom. Artykuł naogół zdradza niezrozumienie sztuki plastycznej współczesnej (a więc i „starej“) i pokazuje tak zwykłą dla nie fachowców-krytyków i nie malarzy (a „prosto—ludzi“, do których siebie zalicza p. H. R.) płątaninę w pojęciach i brak podstawy obiektywnej przy wypowiedzaniu tego lub owego sądu. Pomijam śmiałość pisania o sztuce nie będąc fachowym krytykiem lub malarzem (jakoś nie przyjęto, naprz., pisać o astronomji, matematyce, nie posiadając ich należycie), a wskażę na sprzeczności, któremi jest przepelniony artykuł — sprzeczności w szczegółach i w stosunku do wystawy Wil. Tow. Ar. Plastików z jednej strony i do wystawy mal. Minkowskiego — z drugiej.

Po pierwsze „krytyk“ ubolewa, że wystawa Wil. Tow. Ar. Plastików była „za małą tutejszą, miejscową, wileńską“... Czy to sztuka powinna odtwarzać jakieś specjalne miejscowe nastroje i „typy ulic i mieszkańców“, czy nie powinna *przedewszystkiem* być internacjonalną, raczej ogólnoludzką w swych zagadnieniach plastycznych? I ostatecznie nie w treści—łatwo uchwytniej—wyraża się charakter indywidualny tego lub owego narodu, a najwięcej w samym sposobie zastosowania elementów sztuki przy ujęciu treści.

Dalej, krytyk „nie może zgodzić się z utworami p. Adamskiej-Raubiny, jak „Śmierć Wandy“ — w archaicznym (?) stylu“... Dlaczego? Czy ze względu na kompozycję, czy że jest w „archaicznym stylu“? I dlaczego niedawny styl rycin ciętych na łubie (o którym widocznie mowa)—styl, sięgający aż do drugiej połowy 19 stul. i mający przytem zalety i cechy wielkiej tradycji—ma być potępiany lub nie wykorzystany przez współczesnego malarza, a tymczasem upatrzony w robotach p. Śleńdzińskiego styl prymitywów (?) (widocznie mowa o „stylu“ włoskiego odrodzenia 14 stul.) daje krytykowi „prawdziwe chwile niezamąconej rozkoszy artystycznej“?

Dalej, twierdzenie, że mal. Czechowicz jest „wrażnym zwolennikiem kubizmu i futuryzmu“ — jest nie tylko dalekie od prawdy, ale i samo przez się absurdalne, bo kubizm i futuryzm są kierunki (i świa-

topoglądy) wzajemnie się wykluczające. Właśnie, zasadą kubizmu jest konstruowanie, budowanie—stąd jego „zwrot“ do tradycji dawnych i stałych, — zaś futuryzm, jako protest przeciw zasadom utrwalonym i raz przyjętym, dąży do dynamiki wrażeń i często do umyślnego allogizmu (t. j. nielogicznego z punktu widzenia zwykłej psychiki łączenia wrażeń, symboli i elementów sztuki), a więc w gruncie rzeczy odtwarza życiowy chaos — z tej racji jego zupełny prawie zanik w sztuce współczesnej. Podobnie też wzmianka co do stylu prerafaelitów (krytyk znajduje właśnie podobieństwo w robotach mal. Śleńdzińskiego jednocześnie do dzieł trzech odrębnych epok: prymitywów, prerafaelitów i Holendrów XVII st.) świadczy chyba, że z malarzami angielskimi poł. 19 st., jakimi są Rosetti, Mille, Bern Jons i inni, mal. Śleńdziński nie ma nic wspólnego.

Zatem, niezrozumiały jest zarzut, że mal. Jamont „ma tendencję do tworzenia manieri“... Bo szukanie manieri jest cechą zawsze dodatnią i obowiązkową dla malarza. Inna rzecz — zmanieryzowanie, kiedy malarz, powtarza wciąż bez potrzeby swój czysto zewnętrzny sposób odtwarzania świata widzialnego, co właśnie widzimy częściowo u mal. Jamonta.

Również ubolewa krytyk, że mal. Rouba „uległ jakimś prądom“... Po pierwsze, chciał bym wiedzieć, jakim mianowicie prądom? Po drugie, gdyby i tak było, to czy nad tem trzeba ubolewać, czy może naodwrot, tylko się cieszyć? I jeszcze jeden szczegół, który zdradza, że krytyk nie ma pojęcia o zasadach dzieła sztuki wogóle: mianowicie wzmianka, że „światłocien, znieawidzony przez dzisiejszych czcicieli formy (jakiej?), istnieje przecie w naturze“... daje prawo do myślenia czytelnikowi, że zasadą sztuki jest odtwarzanie czegoś, już istniejącego w naturze...

Ale największa sprzeczność tkwi w przejściu do drugiej części artykułu. Bo z początku gdy się mówi (choć i nie wyraźnie) o kompozycji, kolorach, kulturze artystycznej, gdy roboty mal. Śleńdzińskiego, budowane czysto formalnie, dają krytykowi „chwile artystycznej rozkoszy“ — ma się wrażenie krytyki rzeczowej, ale raptem wszystko to nie istnieje i traci wartość (dla czytelnika i widocznie dla krytyka), gdy się mówi o pracach mal. Minkowskiego. I to w jakim stylu, i z jakim zapalem!.. Dość przytoczyć zdań parę, aby zrozumieć o co krytykowi chodzi: „...W inny zgola świat wchodzimy... bez efektów dekoracyjnych, bo i pogo? (jak to pogo?! a więc elementa plastycznego już są nie potrzebne krytykowi?) ...powstały rzeczy piękne i niezwykle. Tak piękne i niezwykle, że się od nich oderwać trudno... Oto przytulki, noclegowe domu, kuchnie biedaków, uciekinierzy... oto straszny, nędzny, biedny dzień dzisiejszy. Jakie twarze! Takie oczy wymowne głodem, strachem, wstrętem, tęsknotą... A dalej.. piękne tajemnicze kobiety, o prześlicznych egzotycznych twarzach i t. d. i t. d. A więc, „hier ist der Hund begraben“!.. rozczuliła fabuła obrazów!.. Bo dalsze i mpetowe twierdzenie o technice jest bezpodstawne i mniej nawet trafne, jak w części pierwszej. Jakich to, naprz., współczesnych Belgów przypomina faktura olejna mal. Minkowskiego—faktura na ogół bardzo biedna i jednostajna? Nie mówiąc już o tem, że forma twórczości ujęcie treści) jest nie oryginalną (jeżeli chodzi oto krytykowi), bo przypominająca setki malarzy 19 st.—rosyjskich „periedwiżników“, adeptów Akademji Berlińskiej, Monachjum, Krakowa

i t. d., — ale, co najważniejsze, ujęcie formy poszczególnej, a więc kompozycja linii, form „objętościowych“, koloru i t. d. jest słabe i często wprost dyletanckie.

Wogóle, co do malarza Minkowskiego, to widocznie Wilnianie, nie mogąc jeszcze mieć swego i obiektywnego zdania, ulegają jakiejś psychozie, mającej źródło: „prof. R. powiedział“... „prof. F. w Krakowie (czy w Warszawie) pocałował mal. publicznie“... „na raucie wydanym na cześć malarza (dla celów niewyraźnych...) było to i owo“ i t. d.

Zresztą i ta psychoza i te liczne, ale nierzeczowe artykuły w wileńskiej prasie (wszystkich narodowości) mają jedną przyczynę: zupełną dezorientację Witnian w dziedzinie sztuki plastycznej.

I, widocznie, nie prędko jeszcze nasze społeczeństwo i liczni z malarzy poprzestaną zadawać sobie „głęboką“ treścią i rozumieją, że tylko Forma (ta — jakość ujęcia pomysłu) i ona jedna decyduje o wartości dzieła Sztuki.

Dai.

II.

Polemizować na tle zapatrywań na sztukę, wydaje mi się dość bezcelowe, gdyż gdzie, jak gdzie, ale w tej dziedzinie indywidualne poglądy każdego wykształconego człowieka, mają prawo obywatelstwa. Jednak nieścisłość, zarozumiałość i stronność artykułu p. Dai zmuszają mnie do zamieszczenia repliki. Czy p. Dai jest *dyletantem*, czy *fachowcem* w sztuce, o tem nie wiem, ani pseudonim, ani przypuszczam nazwisko jego nie są znane w dziedzinie krytyki artystycznej. Co do mnie, zaznaczyłam najwyraźniej, że piszę wrażenia *niefachowca*.

Sądzę, że sztuka nie istnieje tylko dla fachowców, że wolno o obrazach i rzeźbach wyrażać swe zdanie i ludziom nie malującym i nie rzeźbiącym, byleby to byli ludzie o rozwiniętym poczuciu artystycznym. Cóż to za obrazy i rzeźby, które wymagają specjalnych studjów fachowych dla wydania o nich „trafnego“ sądu? Krytyk nie koniecznie musi być pedagogiem i profesorem, może być głosem *oświeczonej* publiczności, jak w tym wypadku było wyraźnie zaznaczone, człowieka znającego wszystkie galerje stolic europejskich i wiele pracowni sławnych artystów. To wystarczy najzupełniej, by usprawiedliwić tę *śmiałość*, która tak naiwnie dziwi p. Dai.

Oburza go też ubolewanie, że wystawa Plastików była za mało tutejsza i woła: czy to sztuka powinna odtwarzać jakieś specjalnie miejscowe nastroje?

Nie, nie powinna i nigdy tego nie pisałam, wyrażałam jeno swój osobisty żal, że artyści przebywający w Wilnie nie znaleźli natchnienia, do opracowania więcej tematów miejscowych, nader ciekawych i wdzięcznych. Co do tego, że sztuka *przedewszystkiem* powinna być międzynarodową, nie zgodzi się żaden z wielkich malarzy, będących sławą swego kraju, właśnie indywidualne ni cechami swego narodowego temperamentu i psychiki znacząc swe utwory.

Jeśli się pisze, że się nie można zgodzić z jakimś utworem, nie wyszczególniając z jaką jego stroną, to oczywiście pisze się o całości. Dziecko to zrozumie. Co do kubizmu, jest on, o ile wiadomo zwykłym śmiertelnikom, jednym z odcieni kierunku futurystycznego szukającego nowych dróg. Można więc, o ile mi się zdaje hołdować jednemu i drugiemu, tak jak mogą portrety p. Ściendzińskiego

przypominać prerafaelitów i Holendrów, a nawet nowszych rosyjskich malarzy, z których szkoły wyszedł. Co do p. Jamonta, to też każdy logiczny człowiek zrozumie, że kto tworzy *manierę*, styl nie-szczery, celowo przesadny, ten się *zmanieruje*. P. Dai płacze pojęcia stylu i manieri, pisząc o szukaniu manieri, jako cechy dodatniej u artysty.

P. Dai może się cieszyć, że p. Rouba uległ nowym prądom, a inny może się smucić. Jeden woli jego dawniejszą *manierę* (umyślnie używam słowa tego w rozumieniu p. Dai), a inny terażniejszą. Czy to nie wolno? Pyta jeszcze p. Dai o jakiej *formie* piszę, no nie o formie od ciast, a o tej, która ma oznaczać kształt — bryłę. Może według p. Dai sztuka ma obowiązek zerwać z naturą, wielu jednak ludzi wykształconych artystycznie i niewykształconych artystów nawet jest tego zdania, że znalazło by się w niej coś nie coś do opracowania.

Pomijam polemizowanie na tle wystawy Minkowskiego, gdyż tu brzmi nuta osobistego zawodu, zazdrości, czy antypatii, które anihilują cały pogląd na prace niepospolitego żydowskiego artysty. Zakończę tylko zdaniem, że dziecinnie niezmiernie brzmi pogląd że „tylko forma i ona jedna decyduje o wartości dzieła sztuki“. Może to pisać tylko człowiek, który prócz zeszytów pism ilustrujących pomysły dadaistów, formistów, kubistów i futurystów, nic nie widział na szerokim świecie i hołduje modzie może trwałej, amozę chwilowej, w każdym razie takiej, która za ostatni wynik sztuki nie została przez cały świat artystyczny uznana. I dlatego, niech że wolno będzie, bez wywoływania oznak silnej irytacji, wygłaszać indywidualny sąd o utworach artystów.

Hel. Romer.

Z mego notatnika.

Religia a polityka.

Niema nic pociesniejszego, gdy główny filar „Dziennika Wileńskiego“ piorunuje na wiecach przeciw pijaństwu lub na szpaltach swego organu rozdziera szaty nad brakiem religijności w społeczeństwie. Trudno się powstrzymać od śmiechu, gdy się czyta pod szumnym tytułem „Świętości nie szargać“ przegląd artykułów w prasie wileńskiej z powodu uroczyściwości czterechsetlecia kanonizacji św. Kazimierza, zakończony patetycznym wykrzyknikiem pod adresem pism litewskich: „Tak pisać mogą tylko ludzie pozbawieni zupełnie wszelkich skrupułów, dla których religja katolicka jest jedynie bronią polityczną a imiona Świętych Pańskich służą do brudnych celów“...

I jakby na kpiny tenże „Dziennik Wileński“ zamieszcza „w dzień św. Kazimierza“ artykuł wstępny, gdzie postać patrona Litwy została odmalowana z całą endecką bezceremonjalnością. Po przeczytaniu tej charakterystyki odnosi się wrażenie, że świątobliwy Królewicz był zajadłym działaczem ze „Straży Kresowej“, a największą jego zasługą było „popieranie kolonizacji niezamieszkanym obszarów przez dzielny element mazowiecki“.

A czyż nie jest szczytem cynizmu ze strony „Dziennika Wileńskiego“ dytyramby na cześć św. Kazimierza za jego powolność wobec Stolicy Apostolskiej i jednocześnie bojkot demonstracyjny *współczesnych* odezwo papieskich, dotyczących bez-

pośrednio djecezji Wileńskiej? Pominął milczeniem „Dziennik Wileński“ zarówno list Piusa XI do biskupa wileńskiego jak dokument o podniesieniu Katedry do godności Bazyliki, wydany przez Benedykta XV. Pierwszy zapewne dlatego, że zawiera aprobatę działalności biskupa Matulewicza, drugi zaś najwidoczniej dla tego, że nazywa św. Kazimierza patronem Litwy. Z punktu widzenia endeckiego jest to zupełnie konsekwentne, ale pocóż zarzucać innym posługiwanie się religią dla celów politycznych, gdy się samemu ma nieczyste sumienie?

Jeszcze lepiej popisał się Komitet Jubileuszowy, wydając broszurę o obchodzie, gdzie na wstępie w „myślach do odczytu“ znajdujemy taki o to wniosek: „Jak dawniej tak i teraz albo Niemiec albo Moskal chcą zerwać jedność litewsko-polską i zawsze znajdują takich, co im wierzą“.

Cóż ta teza polityczna ma wspólnego z życiem i kanonizacją św. Kazimierza?

Zły przykład.

Kiedy panie, należące do śmietanki towarzyskiej Wilna, zainscenizowały obrzucenie jajami pułk. Chardigny na dworcu kolejowym, zaledwie parę pism zdobyło się na skarcenie tej ulicznikowskiej awantury. A i temi powodowały bodaj względy natury politycznej: znieważony został mundur sprzymierzonej armii! Ogół zaś powitał wybryk sufrażystek wileńskich z nieklamany zachwytem. „Jajecznicza à la Chardigny“ długo służyła jako temat rozweselający w rozmowach salonowych i przez szereg tygodni dawała pole do popisu zawodowym humorystom.

Domorośli politycy przywiązywali do „czynu patriotycznego niewiast wileńskich“ niezmierną wagę. Miał on w ich przekonaniu zwrócić uwagę rządu francuskiego na niezadowolenie ludności polskiej z postępowania przedstawiciela zaprzyjaźnionego mocarstwa w Lidze Narodów, a w każdym razie doszczętnie skompromitować ośmieszonego oficera.

Oczywiście żadne z tych przewidywań się nie ziściło. Pułkownik umył się i przebrał w inny mundur, a rząd francuski nie tylko nie usunął go z zajmowanego stanowiska, ale przeciwnie wyraził mu kondolencję za odniesioną przykrość podczas pełnienia włożonych nań obowiązków.

Skutku więc zamierzonego owa niewybredna demonstracja nie odniosła, ale zły przykład pozostał. W rok potem poszli za nim „patrioci“ ukraińscy, obrzucając jajami na korytarzu hotelu w Wiedniu ministra Skirmunta. Rzecz prosta, że minister postąpił tak samo jak pułkownik Chardigny. Umył się i przebrał w nowy frak, demonstrantów zaś rząd wiedeński wydalil z granic Austrii.

Tym razem oczywiście pisma polskie nie snuły dowcipów na temat „jajeczniczy à la Skirmunt“, zapewne uczyniły to pisma ukraińskie, w prasie polskiej rozległy się wprawdzie zdawkowe głosy oburzenia, na ogół wszakże znać było pewne zakłopotanie z powodu niemiłego incydentu. Zapewne nie jednemu przyszedł na myśl zeszłoroczny wypadek z pułk. Chardigny i morał zawarty w łacińskim przysłowiu: *hodie mihi, cras tibi*.

Niezrażony inicjator.

Na jesieni zeszłego roku ukazała się odezwa, podpisana przez p.p. Czesława Jankowskiego, Michała Birzyszkę, Jakóba Goldszmidta i Antoniego Lewickiego, nawołująca do zbierania składek na po-

mnik Syrokomli w Wilnie dla uczczenia 60 lecia zgonu poety. Pięknym był niewątpliwie pomysł inicjatora odezwy p. Czesława Jankowskiego urzeczywistnienia projektu wspólnymi siłami czterech narodowości krajowych, jak przewidywaliśmy wszakże, nie znalazł on przychylnego przyjęcia w naszym społeczeństwie. Odezwę przyjęto zimno, albo wprost niechętnie.

W ciągu roku zaszły też zmiany w składzie owego grona inicjatorów. Poeta białoruski Lewicki zmarł, działacz zaś litewski Birzyszka został deportowany. Cóż w tych okolicznościach pozostawało uczynić głównemu inicjatorowi p. Czesławowi Jankowskiemu? A no, zdawałoby się, że odłoży realizację projektu do lepszych czasów, gdy stosunki narodowościowe tak się ułożą, iż wspólna akcja nie będzie natrafiała na przeszkody ani zewnętrzne, ani wewnętrzne.

P. Czesław Jankowski nie należy wszakże do ludzi, którzy się zrażają byle drobnostką. Żywo się zakrzętnął, zorganizował wnet nowy komitet i oto ukazała się odezwa, tak samo nawołująca do zbierania składek na pomnik Syrokomli, pod którą tak samo widnieje nazwisko p. Czesława Jankowskiego, tym razem jednak w innym towarzystwie. Zamiast p. Birzyszki figuruje prezydent Bańkowski, zamiast poety Lewickiego agent „Straży Kresowej“ Mydlarz a zamiast Jakóba Goldszmidta p. Bronisława Moraczewska. Pozatem zresztą są jeszcze podpisani p.p. Ludwik Piegutkowski, Jakób Szykier, Juljan Kłos i wielu, wielu innych, dla których — jak przypuszcza odezwa — „drogą jest pamięć Syrokomli“.

Zaiste podziwiać należy niepowседневną wytrwałość i mocne postanowienie dopięcia wytkniętego sobie celu, wszystkie bowiem drogi prowadzą do... komitetu.

Licz.

Zjazdy polityczno-naukowe.

Pod gromkim tytułem: „Wstecznictwo polskie nawet zjazdy naukowe nadużywa politycznie dla swoich celów“ zamieszcza „Kurjer Poranny“ telegram własny z Poznania, który brzmi jak następuje:

„Okazuje się, że stronnictwa prawicowe wyzyskały umiejętnie zjazd prawników i ekonomistów polskich dla swych doraźnych, przegranych już zresztą częściowo spraw politycznych. Sekcja ekonomiczna Zjazdu uderzyła mianowicie w monopol tytoniowy, reformę rolną, sprawę wydzierżawienia kolei i systemu podatkowego. Wskutek opanowania sekcji przez uczestników N.-D. Zjazd wypowiedział się przeciw monopolowi, za uzgodnieniem reformy rolnej z konstytucją i za podatkami pośrednimi. Wprowadzenie przez uczestników zjazdu, a zarazem członków i sympatyków narodowej demokracji i jej odłamów nuty politycznej do obrad zjazdu wywołało silny niesmak w szeregu wybitnych powag naukowych, biorących udział w zjeździe“.

Niech się „Kurjer Poranny“ uspokoi. Nie tylko wstecznictwo polskie wprowadza do nauki pierwiastek polityczny. Na zjeździe psychiatrycznym w Wilnie, który nie składał się przecież z samych reakcjonistów, w niezliczonej ilości wygłoszone przemówienia inauguracyjne wszystkie bez wyjątku wyrażały radość z powodu inkorporacji Wileńszczyzny, co oczywiście w nader luźnym związku pozostawało z zadaniami zjazdu.

Jeden tylko d-r Globus przemawiał na temat, że nauka nie powinna mieć nic wspólnego z polityką,

ale to był lekarz wileński — żyd. Uczestnicy zjazdu Polacy bez różnicy czy to zachowawcy czy postępowcy usiłowali uczynić ze zjazdu jaskrawą demonstrację polityczną.

I niech nam nie twierdzą, że to był naturalny wylew gorących uczuć narodowych, bo tym wszakże nikt tamy nie stawiał ani za czasów Zarządu Ziemi Wschodnich ani w okresie Litwy Środkowej.

Treść numeru: Nasze stanowisko. — *Latowicus*. Romantyzm państwowości a jej rzeczywistość. — *Sonderling*. Względność prawa własności. — *Erka*. Trjumwirat. — *Hel. Romer*. Polemika. W sprawie krytyki malarskiej. — *Licz*. Z mego notatnika. — Zjazdy polityczno-naukowe. — *Odcinek*: — *J. B-nas*. Smutna opowieść.

TYGODNIK PŁOCKI

MA NA CELU:

Budzenie świadomości i karności obywatelskiej wśród najszerszych warstw narodu;

wzmocnienie życia umysłowego naszych środowisk prowincjonalnych;

informowanie społeczeństwa prowincjonalnego o sprawach znaczenia ogólnego oraz o potrzebach życia miejscowego.

Ze względu na to, że „TYGODNIK PŁOCKI“ dociera do miasteczek i wiosek Mazowsza Płockiego, jest on doskonałym środkiem reklamy.

Adres Redakcji i Administracji: Płock, plac Florjański 1.